1951 — Nr XII



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Na okładce:
BOŻE NARODZENIE
Malował Fra Filippo Lippi

PRZECZYTAJ UWAŻNIE

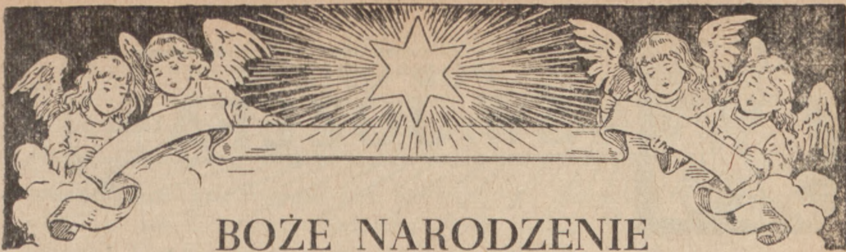
Z DNIEM 1 STYCZNIA 1952 R. INDYWIDUALNĄ PRENUMERATĘ MIESIĘCZNIKA „POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA" NALEŻY ZGŁASZAĆ I OPŁACAĆ U LISTONOSZY LUB W NAJBLIŻSZYM URZĘDZIE POCZTOWYM DO DNIA 15 POPRZEDNIEGO MIESIĄCA.

Niezapłacenie prenumeraty na czas powoduje automatycznie przerwę w dostawie pisma, dlatego w interesie P. T. Prenumeratorów leży, aby pamiętali, na jaki okres uiścili opłatę.

Cena pojedynczego egz.: 1,50 zł. Prenumerata kwartalna 4,50 zł., półroczna 9 zł, roczna 18 zł.

REKLAMACJE NALEŻY KIEROWAĆ DO LISTONOSZY LUB URZĘDU POCZTOWEGO, W KTÓRYM PRENUMERATA ZOSTAŁA ZGŁOSZONA.

Pobierający miesięczniki do dalszej sprzedaży (tj. Komisanci) załatwiają sprawy związane z odbiorem pisma NADAL z Państwowym Przedsiębiorstwem Kolportażu „RUCH" Kraków, ul. Pawia 6.



BOŻE NARODZENIE

Pragnęliśmy i wyczekiwali świąt Bożego Narodzenia z nadzieją radosnych doznań. Przez cały okres adwentowy żyliśmy samą niemal tęsknotą, niecierpliwie wprost wyczekując kiedy w obrzędach kościelnych powtórzy się radosne zdarzenie nocy betlejemskiej. Chcieliśmy słyszeć „Gloria“, chcieliśmy fiolet pokutny zamienić na biel weselną, chcieliśmy cieszyć się!

I oto znów przeżywamy przecudowne Misterium Miłości Bożej! Kościół wzywa nas, byśmy porzucili wszystko i spieszyli z pokłonem do Pana. „Chrystus się nam narodził, pójdźmy, pokłońmy się Jemu“. Słowa te brzmią jak triumf, zwycięska nadzieja tak przemawia, bo tęskne „V e n i“ spełniło się. W opuszczonej jaskini służącej niegdyś koczującym pasterzom za schronienie zjawia się Zbawca. Zamierza On tu nie tylko spędzić noc, ale chce zamieszkać. I tu zamierza przyjmować hołdowników... Pierwszych przyjął ubogich pasterzy. A po nich zaczęły tu płynąć tłumy...

Wieki mijają, a grota betlejemska wciąż pełna jest przybyszów. Tu znajdują kres wszystkie zmagania się człowieka z sobą, serdeczne cierpienia, poszukiwania Boga...

I nam święto Bożego Narodzenia ma przypomnieć obecność Zbawcy wśród nas. Jeśli zapomnieliśmy o Nim, to teraz czas jest sposobny, by dołączyć się do tych, którzy poszli oddać pokłon Nowonarodzonemu. On nam zapewni szczęście pod tym jednak warunkiem, że będziemy „dobrej woli“. Dobra wola jest zresztą jedynym darem jaki możemy złożyć Bogu, a dar ten zapewni nam łaskę Zbawcy, tak konieczną, by życie nasze mogło być dobre. Zbliżywszy się do Pana, nie odstępujmy już od Niego, a tak uświęcimy najdoskonalej dzień Bożego Narodzenia.

WSZYSTKIM NASZYM WSPÓŁPRACOWNIKOM I CZYTELNIKOM SKŁADAMY Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA I NOWEGO ROKU NAJSZCZERSZE ŻYCZENIA POKOJU, RADOŚCI I BŁOGOSŁAWIEŃSTWA OD BOSKIEGO DZIECIĄTKA



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Nr 12 1951 Rok VI.

ODBICIE ŚWIĘTOŚCI JEZUSA

Każdy szuka dobranego towarzystwa i cieszy się obcowaniem tylko z podobnymi sobie. Z jednostką niższą kulturalnie czy moralnie z trudnością tylko znajdujemy platformę porozumienia. Wobec zaś wyższego czujemy się często skrępowani. Ale Bóg chcąc zespolić ze sobą człowieka ma na to sposoby, by tak zbliżyć się do jego poziomu, by ani swego Majestatu nie poniżyć, ani człowieka nie onieśmielić. W jaki sposób to czyni? Mówimy często i śpiewamy w kolędach, że Bóg opuścił niebo, iż wyniszczył się i upokorzył. Są to ludzkie sposoby wyrażania Boskiego sposobu postępowania. Formowanie się stosunków między Bogiem a człowiekiem przedstawia się nieco w innym układzie. Oto Bóg nowym sposobem zaczyna bytować na ziemi, mianowicie w naturze nie tylko swojej czyli Boskiej lecz i ludzkiej, ale nie opuszcza nieba, co więcej, podnosi ludzkość odrodzoną do „obcowania w niebiesiech" (Filip. III, 20). Podobnie też Słowo Przedwieczne stając się człowiekiem, nie zniża się do poziomu ludzkiego bytowania, lecz podnosi człowieczeństwo do wysokości Bóstwa — jak głosi symbol wiary św. Atanazego. Przeto stosunki człowieka i Boga nawiązują się nie tyle zbliżeniem się Boga do człowieka, ile raczej podniesieniem człowieka do Boga.

W ten sam sposób tworzy sobie Bóg wybrane towarzystwo świętych. Dopuszczając do swej łaski i przyjaźni ludzi, niekiedy nawet bardzo grzesznych, jak np. Magdalenę lub Zacheusza, dźwiga je z upadku, oczyszcza z błota grzechu, przywraca piękno duszy, upodabnia do siebie, iżby przeobrażone w Niego stały się godne z Nim obcować. Bóg pozostaje na wysokości swego Majestatu i Świętości, podnosi się tylko poziom godności człowieka. Jeśli Chrystus jadał z grzesznikami, to zapewne z takimi, którzy byli już na drodze do

zaprzyjaźnienia się z Nim. Jeśli Judaszowi w chwili oburzającej zdrady oddaje pocałunek i używa względem niego rozbrajającego tytułu „przyjacielu", to widać istniała jeszcze możliwość pojednania się jego z Mistrzem. Tylko zatwardziałość zakuta świadomie we własną złość odbiera od Zbawcy straszliwe „biada".

W jakim kto stopniu jest wezwany do obcowania z Chrystusem, w takim też Chrystus upodabnia go do siebie. Maryja miała z Nim fizyczny kontakt przez poczęcie Go w swym łonie, przeto już uprzednio ustrzegł ją od wszelkiego zetknięcia z grzechem, czyli zapewnił jej niepokalaność od pierwszego aktu istnienia. Jezus rozmiłowany w dziewictwie i głoszący duchowe „otrzebienie" dla królestwa niebieskiego zapobiegł, by i Jego najukochańsza istota na ziemi, Matka, nie była pozbawiona chwały dziewictwa.

Po Maryi nikt nie był dopuszczony do tak zażyłego stosunku z Jezusem, jak Jego Opiekun św. Józef. Piastun, Żywiciel, Obrońca i rzemieślniczy Mistrz Jezusa musiał być zaiste głęboko urobiony na modłę ducha Jezusowego. Jezusa i Józefa łączył nie tyle wspólny dach, wspólny stół, wspólna praca, wspólne rozmowy i wspólne praktyki izraelickiej pobożności, ile raczej jedna duchowość, która ich silniej spowinowacała, niż naturalne rodzicielstwo. Wiemy z Ewangelii, ile Jezusa kosztowało urabianie Apostołów wedle swego ducha. Do ostatniej chwili natrafiał u nich na brak zalet, który wywoływal u niego skargi: „Tak długo jestem z wami, a jeszcze nie poznaliście mnie", albo kiedy indziej: „Nie wiecie, jakiego ducha jesteście". Czy z świętym Józefem miał jakie trudności pod tym względem tak jak u Apostołów? W każdym razie ewangeliści charakteryzując postacie apostołów, nie znaleźli u nich tego, co ubocznie napomykając o św. Józefie nie chcący w nim ujawnili. Ukazali go jako męża ze wszech miar doskonałego. Św. Józef był zapewne najdoskonalszym odbiciem doskonałości Jezusowych i dorósł „pełnego wieku lat Chrystusowych" (Efez. IV, 13).

Bóg więc nie byle komu oddał w opiekę Jezusa i Maryję. Ich cześć wymagala, aby to była dusza, jeśli nie dorównująca im, to w każdym razie dosięgająca ich poziomowi najświętszego życia. Przeznaczenie Józefa do bliskiego i intymnego współżycia z Jezusem i Maryją dało mu wobec Boga pewien tytuł do wyższej świętości wlanej, do otrzymania większych łask aktualnych, gorętszej miłości, ducha wiary, ofiarności, dziewiczej czystości oraz zamiłowania w życiu ubogim i prostym. Toteż polska pieśń religijna dobrze to wyczuwa, kiedy każe nam opiewać jego wielkość słowami: „On w swiętości i czystości po Maryi pierwszym był, przy Panience on w stajence pierwszy Boże Dziecię czcił". Świętość Józefa więcej da się mierzyć doskonałościami Jezusa i Maryi, aniżeli jakichkolwiek innych świętych.

Każda zaleta moralna chrześcijanina zaszczepiona jest wpierw przez łaskę, zanim zdolna bywa do rozwoju dzięki jej sokom ożywczym i współpracy człowieka. Prawdziwe życie religijne wykazuje zawsze tendencję rozwojową. Jeśli tego mu brak, to znak, że nie jest prawdziwym życiem religijnym. Wzrastać musi, choćby było tak małe, jak ewangeliczne ziarnko gorczyczne. Tylko Bóg nie może wzrastać, gdyż jest pełnią doskonałości i życia. Ale i Jezus choć wewnętrznie jako Bóg nie wzrastał, to jednak stopniowo objawiał na zewnątrz wzrost w łasce u ludzi i u Boga. Maryja również wzrastała nieustannie. Życie św. Józefa znamionował zapewne tym samym prawem postęp. Był opiekunem Jezusa i Mistrzem w warsztacie, ale równocześnie w warsztacie ducha był uczniem Chrystusa. Życie Jezusa i Maryi z bliska oglądane było mu szkołą wyrobienia duchowego i nieustanną podnietą do postępu.

Pierwsze lekcje elementarnego szkolenia odebrał w stajence Betlejemskiej. Żłóbek był mu katedrą, z której słuchał najwymowniejszych wykładów ewangelicznej mądrości. Łkanie Dzieciątka wlewało w jego duszę wiedzę miłości i krzyża, umiejętności, pokory, ubóstwa, czystości i posłuszeństwa oraz sztukę rozeznania Woli Ojca niebieskiego. Boski Mistrz znalazł w Józefie najpojętniejszego ucznia Swej nauki. Toteż św. Józef urzeczywistnił w swym życiu dzieło najdoskonalszego upodobnienia się do Jezusowej duszy. Przeprowadził je nie tylko sposobem przykładowego uczenia się od Jezusa, lecz także prawem obcowania. „Z Świętym obcując, świętym się staniesz — Cum sancto sanctus eris" — mówi Psalmista (Ps. 17, 26). Wielka jest w świętych siła przeobrażania swojego otoczenia, a szczególnie tych, którzy wchodzą w żywszą z nimi przyjaźń. Tym większa siła przetwarzania ludzi leży w Jezusie, jeśli już samo materialne dotknięcie Go wlewało zdrowie w schorzałe ciała. Dla subtelnej duszy królewskiego potomka Dawida życie Jezusa i Maryi, a jeszcze więcej obcowanie z nimi przedstawiało nieodparty czar, czasem budzący lęk szacunkowy, a częściej kuszący do naśladowania wzór.

Toteż życie Józefa jest najautentyczniejszym odbiciem życia jezusowego. I to jest dopełnieniem jego wielkości. Zaszczytnym był wprawdzie dla niego urząd opiekuństwa nad Jezusem, nieocenioną łaską małżeństwo dziewicze z Maryją, Matką Boga, Królową nieba i ziemi. Lecz godności, zaszczyty, wysokie urzędy stają się dla człowieka w obliczu Boga o tyle tytułem do istotnej chwały, o ile zewnętrzną tę godność wypełnia treść dóbr wewnętrznych, z łaski, cnót i zasług złożona.

O. Otto, karmelita bosy.

Światłość przyszła na świat



Znamienny to fakt, że liturgia adwentowa — posługująca się natchnionymi słowami Proroków — tak często zapowiada przyszłego Zbawiciela pod obrazem światłości. „Oto Pan nasz w mocy przyjdzie i oświeci oczy sług swoich" (Ant. II niedz. Adw.). „Pan przyjdzie i nie omieszka i oświeci rzeczy ukryte w ciemnościach" (III niedz. Adwentu). A w miarę zbliżania się Bożego Narodzenia, tym natarczywiej cały Kościół woła tęsknotami wieków: „O Wschodzie blasku światła wiecznego, i słońce sprawiedliwości: przyjdź i oświeć siedzących w ciemnościach i cieniu śmierci".

Aż wreszcie, u progu Bożego Narodzenia, słyszymy weselem rozbrzmiewające słowa Izajasza: „Wstań, oświeć się, Jeruzalem, bo przyszła światłość twoja, a chwała Pańska wzeszła nad tobą" (60, 1).

I kiedy nastąpiło wypełnienie czasów, kiedy Bóg - Dziecię zawitał na ziemię, świadczą Ewangelie, iż równocześnie „jasność Boża zewsząd oświeciła" (Łuk., 2, 8). Oświeciła nasamprzód szczęśliwie wybranych prostych pastuszków, którym aniołowie przed wszystkimi zwiastowali radosną nowinę.

I istotnie, głęboka prawda dogmatyczno-życiowa mieści się w owym nazwaniu Zbawiciela światłością. Niemniej także obraz Zbawiciela Światłości mieści w sobie wiele psychologicznego uzasadnienia, ze względu na ówczesny świat, jak i ze względu na każdą duszę, stęskniona za blaskami prawdy, rwącą się do życiodajnych promieni słońca. Istotnie,

wielką i jakże brzemienną w skutki prawdę wypowie św. Jan, gdy napisze: „Ta jest nowina, którąśmy słyszeli od niego, i opowiadamy wam: że Bóg jest światłością, a ciemności żadnej w nim nie ma“ (I Jan, 1, 5).

To jest nowina, którąśmy słyszeli od Niego...

Wszak kilkakrotnie w swym życiu Jezus uroczyście zobrazuje swą misję jako dawcy światłości. „Jam światłość, przyszedłem na świat, aby nikt z tych, co wierzą we mnie, nie mieszkał w ciemności“ (Jan 12, 46). Najważniejszym zadaniem — po dziele Odkupienia — Jezusowego życia, to właśnie „oświecać tych, którzy w ciemnościach i cieniach śmierci i, wprowadzać ich na ścieżki pokoju“ (Łuk., I, 79).

I nic w tym dziwnego, że już żłóbek Jezusa rozpromienia nieziemska światłość. Bo wszak już od żłóbka rozpoczyna Zbawiciel swe posłannictwo „oświecania dusz“ i „wprowadzania na drogi pokoju“.

*

Oczywiście, na modłę Bożą, zanim Chrystus Pan, swoim Boskim przykładem z żłóbka rzuci pierwszy snop jasnych promieni z niebios. Niemałe to dla nas oświecenie, dla nas zaślepionych znikomymi dobrami doczesności i w nich pokładający całe swe oparcie, że Chrystus rodzi się ubogi — dosłownie — najuboższy — w stajence — w żłobie — u obcych, a właściwie — u nikogo, bo swoi Go nie przyjęli.

On Pan nieba i ziemi i takie Jego narodziny? — z zadumą uzasadnioną pyta ten i ów. I z konieczności musi zapytać siebie: „Jaki w tym wszystkim sens? Jaka myśl Boża“? Ów fakt ubogiego Boga Człowieka w żłobie zmusza nas do zastanowienia, czyżby istotnie były jeszcze cenniejsze dobra dla człowieka, niż te, których wyrzekł się Chrystus?

A potem? Całe życie Jezusa, najmniejszy jego szczegół, to nowe blaski światła dla dusz dobrej woli, pragnących zdążać do osiągnięcia szczytów „światłości nigdy nie gasnącej“.

A więc i cichy pobyt w Nazarecie i skromne zajęcia Jezusa „pomocnika domowego“ i „ucznia cieśli“, to wszystko jasno oświeca nam drogę, po której winien człowiek zdążać do osiągnięcia swych wieczystych przeznaczeń

A Serce Boga-Człowieka „wyniszczające się“, starte w służbie dla niewdzięcznego człowieka, czyż nie zapłonęło nowymi blaskami, w których jasności widzimy i dotykamy M i ł o ś ć. Miłość bez cudzysłowu. Miłość, nie jej namiastki.

*

Jezus, po wtóre, stał się światłością duszy przez Swą wzniosłą naukę, słusznie zwaną „ewangelią“ czyli dobrą nowiną.

Nauka ewangelii rozświetlona jest promieniami niebios. Otwórzmy ją, i czytajmy choćby ów urywek: „Rzekł jej Jezus: Jam jest zmartwychwstanie i żywot: kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć bę-

dzie“ (Jan XI, 25). To już nie promyki światła — trzeba nam wyznać — ale uchylona zasłona zaświatów. Albo inny urywek. „Ale wy miłujcie nieprzyjaciół waszych, czyńcie dobrze i pożyczajcie, niczego się stąd nie spodziewając, a wielka będzie zapłata wasza, i będziecie synami Najwyższego...“ (Łuk. 6, 35).

Czyż czytając te słowa Ewangelii, nie musimy powtórzyć za św. Teresą od Dzieciątka Jezus: „Odkrywam w niej coraz n o w e ś w i a t ł a, coraz głębsze znaczenie“. I te pełne czaru: „Wystarczy mi otworzyć Ewangelię, i zaledwie oczy moje spoczną na jej kartach, a już oddycham w o n n o ś c i ą ż y c i a J e z u s o w e g o, i już wiem, którędy mi trzeba biec“.

Z tymi, którzy żyją Ewangelią, idzie Chrystus przez drogi życia i prostuje i oświeca ich ścieżki by nigdy nie zeszli z drogi przykazań; by nigdy nie stracili świetlanego celu swego życia.

*

Chrystus, wreszcie, nawiedza duszę naszą jako Ś w i a t ł o ś ć przez natchnienia łas uczynkowych.

Każde natchnienie do dobrego jest dla naszego rozumu iskrą — płomieniem — światła nadprzyrodzonego, a dla naszej woli „palcem Bożym“, dotykającym i wzmacniającym jej zasoby energii do wykonania dobrego uczynku. A trzeba wiedzieć — jak pięknie zauważa św. Jan od Krzyża — że jeśli dusza szuka swego Boga, to o wiele więcej szuka jej Umiłowany; i jeśli ona śle do Niego swe miłosne pragnienia... to On również wysyła ku niej wonności swoich namaszczeń, to znaczy swoje boskie natchnienia i dotknięcia, którymi pociąga ją i porywa ku sobie.

Pan Jezus, przez swe dzieło Odkupienia, stał się przyczyną sprawczą wszystkich tych łask — oświeceń. A każda chwila czasu, każdy „przypadek“ to nowe nawiedziny duszy przez Chrystusa-Ś w i a t ł o ś ć; to rozświetlone nowe drogi i nowe horyzonty woli Bożej.

*

A wnioski z naszego rozważania?

Najpiękniejszy chyba wyciąga św. Paweł Apostoł. „Niegdyś — powie — byliście ciemnością, lecz teraz ś w i a t ł o ś c i ą w Panu: Skoro „światłością w Panu“, a więc „jak dzieci światłości postępujcie“. A owoc światłości — objaśni następnie Apostoł — jest „we wszelkiej dobrotliwości i sprawiedliwości i prawdzie“ (list do Efez., 5, 8).

Odrzućmy tedy uczynki ciemności — niewstydliwości, swary, zazdrości — a obleczmy się w zbroję światłości: w dobroć, sprawiedliwość i prawdę.

Wówczas będziesz jaśniał, i rozświecał innym drogę jako „światłość w Panu“.

I ten drugi wniosek.

BRAK UFNOŚCI

Do pewnego psychiatry zgłosił się pacjent w stanie bliskim załamania. Nie mógł sypiać, stracił zdolność skupienia się i stale się martwił. Utracił apetyt, czuł się rozdrażniony i przygnębiony. Symptomy te wystąpiły nagle w dwa tygodnie przed wizytą u lekarza. — Nigdy przedtem nie zdradzał żadnych poważnych objawów nerwowych, choć zawsze był dość lękliwy i trzymający się z dala od ludzi. W toku analizy ujawniła się następująca sytuacja. Od szeregu lat zajmował on stanowisko w wysoko wyspecjalizowanym przedsiębiorstwie. Piastował on stanowisko odpowiedzialne pracując dla dwóch wspólników. Kilka tygodni temu umarł główny wspólnik, a nasz pacjent miał zająć jego miejsce, przyjmując na siebie główną odpowiedzialność. Każdy inny przyjąłby z zadowoleniem nieoczekiwaną promocję. Inaczej rzecz się miała z naszym pacjentem. Choć miał pełne kwalifikacje i duże doświadczenie nie miał zaufania do siebie. Nowe obowiązki obejmowały m. in. okazyjne wystąpienia publiczne, do których czuł się zupełnie niezdolny. Gdy miał np. przemawiać publicznie, ogarniało go przerażenie. Przybywszy do lekarza był zdecydowany porzucić spółkę i wziąć jakieś pośledniejsze zajęcie. Kilka rozmów psychoanalitycznych dopomogło mu do opanowania sytuacji i do wykonywania z powodzeniem nowych obowiązków.

Dokończenie ze str. 7

Ktoś z młodych, po Komunii świętej, wypisał sobie w dzienniczku te słowa: „Dzięki Ci, Jezu, żeś moją duszę stworzył do światłości; dzięki Ci, że jej w ciemności niedobrze...“

Przecenna to godność naszej duszy i najoczywistszy ślad Bożego podobieństwa w niej, iż jej w ciemności niedobrze. Szukajmy Prawdy, umiłujmy Wcieloną Prawdę — Jezusa Chrystusa, Jego życie, Jego żywe słowa w Ewangelii — idźmy za cichym szeptem łaski, a wówczas ciemności nigdy nas nie ogarną.

„A sam Pan nasz Jezus Chrystus i Bóg a Ojciec nasz, który nas umiłował i dał nam przez łaskę pocieszenie wieczne i dobrą nadzieję, — niech pociesza serca wasze i utwierdza was we wszelkim dobrym uczynku i w dobrej mowie“. (z listu do Tessalon., 2, 16).

O. Rudolf, k. b.

Taki brak zaufania i lęk przed odpowiedzialnością nie jest zjawiskiem odosobnionym i stanowi często przeszkodę w powodzeniu życiowym. Czyni on ludzi niezdolnych do zajęcia stanowiska odpowiedniego ich zdolnościom, kaleczy ich i udaremnia postęp.

Innym objawem braku zaufania jest ogólna nieufność do życia. — Ofiary jej odczuwają niezdecydowanie, wypytują wszystkich naokoło o radę i nie potrafią podjąć decyzji w ważniejszych sprawach życia. Skarżą się nieraz, że nie odczuwają swych poważniejszych lat w obcowaniu z ludźmi. Inni znów mają minę jakby wszystkich przepraszali, że w ogóle żyją. Tracą rezon wobec jednego kontrargumentu i zdają się lękać wypowiedzenia swej opinii, aby się nie ośmieszyć lub kogoś nie obrazić. Wyglądają jakby żyli na diecie malutkiego ciastka. Są lękliwi, prędko milkną i są nadmiernie przeczuleni na krytykę. Nie mając nigdy poczucia bezpieczeństwa, nie są nigdy naprawdę szczęśliwi.

Taki brak ufności jest poważną przeszkodą w życiu. Hamuje rozwój osobowości i paraliżuje czasem działanie; podminowuje odwagę, wycofuje człowieka ze społeczeństwa i każe mu kapitulować wobec życia.

Bliższe badanie życia takich ludzi wskazuje często na zbytnią surowość lub szorstkość wychowania w dzieciństwie. Niektórzy rodzice, mając fałszywe pojęcie karności, sądzą, że dzieci powinny być widziane, ale niesłyszane. Dziecko jest nieraz nadmiernie ganione lub wyśmiewane, albo sprowadzone do zupełnej bierności przez rej wodzącą matkę. Czasem w domu brak uczucia, dziecko umiera z głodu miłości, której potrzebuje każda normalna istota ludzka dla swego zdrowego i szczęśliwego rozwoju. W innych wypadkach traktuje się dziecko jak niemowlę długo po latach niemowlęcych, nie zachęcając go do samodzielności, do rozwiązywania własnych problemów, do pokonywania trudności, tak że zamiast zdobywania zaufania do siebie i niezależności, opierało się ono wciąż na innych. Gdy z dojrzałością przyszła odpowiedzialność i konieczność podejmowania decyzyj, człowiek ten nie potrafił stanąć na własnych nogach, a opory życia były ponad jego siły.

Innym źródłem braku ufności i lęku przed życiem mogą być powtarzające się lub przewlekłe choroby fizyczne, zwłaszcza w okresie młodzieńczym, gdy potrzebne są siły umysłu i ciała dla dostosowania

się do wzrastających wymagań życia. Młodzieniec zalega w nauce, nie potrafi dotrzymać kroku swym rówieśnikom w sporcie, i jego zaufanie do siebie i do życia zostaje podminowane. Temu brakowi zaufania towarzyszy często podejrzliwość. Rozwija się uczucie, że życie i ludzie są nieprzyjaźni, i zajmuje się stałą postawę defensywną. Człowiek odczuwa niesprawiedliwość, wydaje mu się, że życie go zlekceważyło i w porównaniu z innymi nadmiernie obciążyło zawodami. Odczuwa zagrożenie i lęk nieustanny, że życie w każdej chwili spłatać mu może figla i wymierzyć nowe uderzenie.

Można by mnożyć przyczyny takiego braku zaufania. Można by jednak ująć je w jednym zdaniu: jest to lęk przed jutrem. I tu właśnie zdrowa wiara religijna może być wielką pomocą i może zmienić wylękłego, podejrzliwego i wątpiącego Tomasza w człowieka ufnego i szczęśliwego. — Wiara w Chrystusa jako Zbawiciela oznacza nie tylko ufność w przebaczenie grzechu, ale zaufanie we wszystkim, do wszystkich szczegółów życia, dziś i jutro. Chrystus pouczał, że człowiek nie jest igraszką przypadku, rzucaną sprzecznymi prądami bez sensownego bytu, lecz że Ojciec Niebieski interesuje się wszystkim, co nas dotyczy, że nawet wróbel nie ginie bez Jego wiedzy. Chrystus pouczał, że życie nasze nie jest bezsensowne, lecz że Bóg stworzył nas z miłości i dla swej chwały. Interesując się naszymi sprawami, małymi i dużymi, interesuje się także naszą postawą wobec życia, jego prób i trudności. Nie tylko patrzy na nas, lecz jest z nami i przy nas, dzieli z nami swe życie, miłość i moc, a my powinniśmy dzielić z Nim nasze życie. Jesteśmy cząstką Jego Ciała Mistycznego, zjednoczeni z Nim w Jego zwycięskim życiu zmartwychwstania. Wskazał na tę więź naszą z Nim, nazywając siebie winnym szczepem, a nas latoroślami. Zaprasza nas do mieszkania w Nim, to znaczy do dzielenia Jego życia i myśli. Jak można nie ufać, mając do dyspozycji nieograniczoną moc bożą?

Ks. Dr Marian Rzeszewski.

WŚRÓD SKRZYŻOWANIA DRÓG

Od dobrego wyboru stanu zależy twoje szczęście doczesne, a bardzo często i szczęście wieczne.

Decyzja w tej sprawie nie powinna być dziełem przypadku, ale powinna być wpracowana głęboką myślą i próbami w życiu codziennym. Najczęściej jednak tak bywa, że stan i zawód obiera się bezmyślnie, bez głębokiego i dłuższego zastanowienia się, bez rady starszych i doświadczonych, bez zamiłowania i entuzjazmu.

Po prostu dlatego obiera się ten, a nie inny zawód, ponieważ taki zawód obrał kolega, taki zawód uprawiał ojciec, albo taki jest najintratniejszy. A ileż to razy obiera się zawód z pobudek grzesznych, może dlatego, że będzie w nim łatwiej próżnować, albo oszukiwać i nielegalnie zarabiać. Nie potrzeba przekonywać, że kto taką drogę obiera nie daleko i napewno nie do szczęścia dojdzie.

Najistotniejszą rzeczą jest wybrać stan, w którym chcemy żyć: czy małżeństwo, czy celibat, czy stan świecki, czy duchowny. I tutaj decydować muszą względy wyższe, wzgląd na nasze zbawienie. Tymczasem młodzi ludzie wybierając taką, czy inną drogę biorą wszystkie momenty pod uwagę, a tylko zapominają o jednej kwestii. Czy na tej drodze będę mógł najlepiej służyć Bogu. A przecież przyjdzie chwila, kiedy trzeba będzie zdać rachunek z żywota; o tej chwili młodość tak łatwo zapomina i daje się omamić fałszywą barwą różnych ponęt. Spełnia się zdanie poety: „Jedna rzecz na tym świecie warta ludzkiej pieczy, ludzie o wszystkim myślą prócz tej jednej rzeczy".

W związki małżeńskie wstępuje najwięcej ludzi. Tym spełniają misję przekazywania życia z pokolenia na pokolenie.

Dlatego obierając stan małżeński należy to czynić z powagą i zrozumieniem jego zadań. Trzeba to uczynić z rozwagą, a nie z lekkim sercem, bo co Bóg złączył już nigdy nie wolno rozłączać. Sakrament małżeństwa jest świętością, i dlatego jak do rzeczy wielkich trzeba doń podchodzić.

Są jednak ludzie, którzy obierają stan bezżenny. Z punktu widzenia nadprzyrodzonego ludzie ci lepiej robią. Ale tylko wówczas, gdy oni podchodzą do tej sprawy z punktu widzenia nadprzyrodzonego. Jeżeli ktoś unika małżeństwa bo nie chce się wiązać, nie chce rodzić dzieci, nie chce być obarczony klopotami i wydatkami rodzinnymi grzeszy przeciwko Woli Bożej, przeciwko naturze i jej prawom, przeciwko ojczyźnie i ludzkości.

Najwięcej zastanowienia wymaga wybór stanu duchownego. Tutaj momenty doczesne, materialne nie powinny w ogóle być brane pod

uwagę. W innych wypadkach należy je zawsze uwzględniać, ale przy wyborze stanu kapłańskiego ominąć.

Jeżeli czuje się powołanie straszną rzeczą jest je zlekceważyć, jeżeli brak powołania nie wolno wchodzić na ucztę bez wezwania Bożego. Przy wyborze zawodu powinny przede wszystkim poza kwestiami religijnymi decydować zdolności i zamiłowania. Bo tylko, jeśli, coś się umie i coś się kocha można dobrze wykonywać.

Wybierając zawód należy spytać się: w jakim wypadku będę najpożyteczniejszy? I wówczas obrać taki zawód, który będziemy mogli z całym zapasem zdolności i z całym umiłowaniem wykonywać. Chociażby inne zawody miały nam przynieść większe zyski materialne należy je odrzucić. Dobro społeczeństwa, dobro swojego narodu, Ojczyzny, powinno być wzięte pod decydującą uwagę. Obierając zawód trzeba go wybrać z entuzjazmem, bo tylko wówczas z entuzjazmem i poświęceniem będzie można go wykonywać. Ani trudy, ani niepowodzenia chwilowe, ani ewentualne braki materialne nie pozwolą nam wówczas rzucić sztandaru pracy i zejść z obranego posterunku.

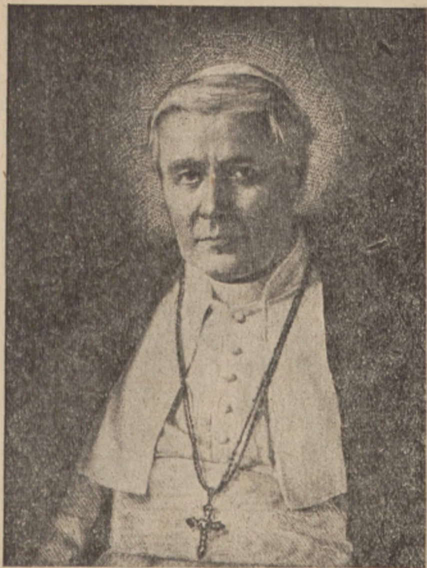
Tak bardzo brak nam jeszcze dobrych specjalistów, bo często są ludzie nie na swoich miejscach, bo interes, bezmyślność lub przypadek kazały im wykonywać zawód, w który nie wkładają całej swojej duszy i serca, dlatego ich praca przynosi tak małe korzyści i tyle w niej bezduszności. Ci sami ludzie gdyby poszli inną drogą mogliby przynieść więcej pożytku. Ludzie jednak zapominają, że żadna praca nie hańbi, że w świetle religii i Ewangelii, każda praca fizyczna, umysłowa, jest zasługą nie tylko na życie doczesne, ale na wieczne. W oczach Boga, w pojęciach chrześcijańskich obojętną jest rzeczą, jaką pracę kto wykonuje, byle to była praca godna i służąca ludziom; najważniejsze jak i w jakiej intencji się ją wykonuje.

Rodzice powinni ułatwić dzieciom szczęśliwy wybór stanu i zawodu. Nie wolno im narzucać swej woli dzieciom. O tym zapominają, a czasem mają na uwadze jedynie osiągnięcia materialne. Nie mogą rodzice narzucać dziecku małżeństwa, ani go zakazywać. Nie mogą zmuszać do stanu duchownego, ale powołanie kiełkujące w sercu dziecka rozumnie, a troskliwie rozwijać, nie zagłuszać je, nie odbierać wiary w siły, ale roztropnie ją wlewać i dziecko do ołtarza prowadzić.

Przy wyborze stanu i zawodu nie możemy zdawać się na nasze własne rachuby i siły. Coś w naszych obietnicach zawsze może pomylić. Dlatego należy bezustannie i natarczywie prosić Boga i Matkę Dobrej Rady o światło w poznaniu woli Bożej, w zrozumieniu misji naszego życia, w przenikaniu losów przyszłości, wołając by Duch Św. łaską Swoją oświecił nas i tych, którzy naszą nieudolność otaczają swą opieką.

Zbigniew Zielonka

OSTATNIE CHWILE PIUSA X



Obecnie, gdy świat cały zajęty jest Piusem X, świeżo wyniesionym na ołtarze, słyszy się coraz częściej o jego niezwykłym darze jasnowidzenia. — Dziennik jego Sekretarza Stanu i zaufanego przyjaciela, kardynała Mgr del Val, który przez 11 lat dzielił wszystkie myśli, troski i bóle świętego Papieża, przyniósł niezmiernie ważne rewelacje co do tego wyjątkowego daru — zwłaszcza w sprawie 1-szej wojny światowej (1914—1918).

W 1911 roku, na trzy lata przed jej wybuchem, Pius X powiedział wobec kilku zaufanych: „Widzę wielką wojnę"! A wkrótce potem rzekł do swego Sekretarza Stanu: „Wielka wojna się zbliża... Bóg trzyma w ręce najstraszniejsze plagi... Wojna jest we drzwiach niedalej jak w 1914 roku... Nie mówię o tej wojnie miejscowej, jak Libijska lub Bałkańska — lecz o wojnie wszechświatowej: „non una guerra, ma un guerrone!"

„Nic dziwnego — pisze kardynał Merry del Val — że Ojciec święty miał serce ściśnięte tym konfliktem, który zbroił miliony jego synów jednych przeciw drugim. Pius X bowiem współcierpiał głęboko ze wszystkimi cierpiącymi, szukającymi u niego pomocy i opieki. Ból spowodowany tą wojną był tym okrutniejszy, że przewidywał od dawna ten krwawy zatarg z jego okropnościami i zniszczeniem"

Gdy dochodziły do Watykanu coraz smutniejsze i boleśniejsze wieści, Błogosławiony powtarzał swemu wiernemu współpracownikowi:

„Wszystko to jeszcze niczym... niczym w porównaniu z tym, co nam zbliżająca się wojna przyniesie!"

A kardynał dopisuje w swoich „Wspomnieniach": „Ileż to razy, wychodząc od Ojca św. i powróciwszy do



Kard. Merry del Val

mego gabinetu, pytałem sam siebie: „Dlaczego mówi on z takim naciskiem i z taką precyzją o tej przyszłej wojnie? Dlaczego powiada, że będzie właśnie w 1914 roku, a nie w innym?“

W 3 miesiące potem Papież rozmawiał z posłem Brazylijskim przy Stolicy Świętej, który przyszedł się pożegnać przed wyjazdem na inną placówkę. W pewnej chwili Pius X powiedział mu: „Ma Pan szczęście, że opuszcza Europę... bo nie zobaczy wszystkich okropności, które się na nią zwalą“. Dyplomata amerykański zrozumiał dopiero znaczenie tych słów, gdy niedługo potem wojna stała się straszliwą rzeczywistością.

Dnia 28 czerwca 1914 roku, skoro tylko otrzymał od nuncjusza w Wiedniu telegram donoszący o zamachu w Sarajewie, Papież rzekł do kardynała Sekretarza Stanu: „Oto iskra, która rozpali „guerrone“. W miesiąc potem, 28 lipca, Austria wypowiedziała Serbii wojnę, i natychmiast na wszystkich granicach stanęły zbrojne wojska zdawna przygotowane, „w obronie obrażonej sprawiedliwości, oraz rewindykacji i zemsty“.

Pius X nawoływał kilkakrotnie do pokoju. Ostatnia jego odezwa z 2 sierpnia: „Ad universos orbi catholicos hortatio“ zwracała się do wszystkich katolików świata; w 18 wierszach, które są jakby jednym krzykiem boleści jego ojcowskiej duszy, — zaklina, aby zaniechano zemsty, nienawiści i bratobójczej walki; „przeniknięty do głębi niepokojem o życie i zbawienie tylu ludzi i narodów“, wzywa wszystek kler katolicki do organizowania po parafiach modłów publicznych, oraz wszystkich wiernych, aby wznosili serca, ku Temu, od którego jedynie przyjść może pomoc, ku Jezusowi Chrystusowi, Królowi Pokoju i przemożnemu Pośrednikowi naszemu przed Bogiem“.

W tej samej chwili armie niemieckie zgwałcały neutralność Belgii, zagwarantowaną przez Traktat Londyński; Anglia zaś automatycznie pośpieszyła z pomocą napadniętym, podczas gdy Japonia zajęła swą flotą cesarskie kolonie niemieckie. Świat był podpalony na czterech rogach.



Pius X, Namiestnik Chrystusa, z krzyżem jako jedyną bronią w ręku, stanął wobec rozpętanej burzy, bezbronny lecz nieugięty. Serce pękało mu z bólu. Czy potrafi ocalić przynajmniej Italię?

Zwierzył się wiernemu przyjacielowi, że ofiaruje swe życie, — „quella mia povera vita“ — za pokój świata...

Na 5 dni przed śmiercią, gdy nic nie zdawało się zagrażać jego zdrowiu, odezwał się do najbliższego otoczenia, ku zdumieniu słuchających: „Przykro mi, że z powodu tej wojny Kardynałowie nie będą mogli zjechać się na Conclave“. — Miano się niebawem przekonać, że słowa te były prorocze.

W święto Wniebowzięcia N. M. P. odprawił ostatnią w życiu Mszę św. Po południu odwiedziły go stare „sorelle“ — dwie jego siostry mieszkające niedaleko Watykanu, na piazza Rusticucci, w skromnym mieszkanku na czwartym piętrze (Anna i Maria; Luccia, Róża, niedawno zmarła). Żegnając je powiedział: „Jest wpół do 8-mej; idźcie już do domu i zmówcie za mnie „Zdrowaś Maryjo“.

W nocy zachorował; wezwani lekarze stwierdzili ostre zapalenie płuc; gorączka dochodziła do 40°; serce słabło, niebezpieczeństwo rosło z każdą godziną; wszak dostojny chory liczył 79 lat.

Zapytano go, czy pragnie przyjąć ostatnie Sakramenty? Odpowiedział słowami pisma św.: „Składam się w ręce Pana. — In manus tuas, Domine". Podczas św. Obrządków modlił się w wielkim skupieniu, śledząc uważnie wszystkie liturgiczne czynności. — Przy łożu umierającego modlili się kardynałowie Merry del Val, Gasparri, Caggiano, Bisletti, Mons. Bressan, młody X. Perolius, siostrzeniec Papieża i wierne jego „sorelle".

Dzwony bazyliki św. Piotra, a za nimi wszystkich kościołów Rzymu — z obu brzegów Tybru, na starych historycznych siedmiu wzgórzach i na równinie otaczającej Wieczne Miasto nowymi dzielnicami robotniczymi i fabrycznymi — wzywały Rzymian spiżowymi głosy do modlitwy za umierającego Papieża: „pro Pontifice agonizante".

Chory już nie mówił: piękne jego oczy spoglądały z wyrazem wielkiej miłości to na płaczące siostry i siostrzeńca, to na powiernika i przyjaciela i na prałatów domowych: uśmiechał się do nich, a usta poruszały się w cichej modlitwie.

Nazajutrz, 20 sierpnia, Kościół obchodził uroczystość św. Bernarda, którego umierający szczególnie miłował, za to „że tak kochał Matkę Boską". Miał to być dzień śmierci błog. Piusa X, który tak lubił wczytywać się w dzieło Opata z Clairvaux „De Consideratione", napisane dla ucznia jego, Eugeniusza III, dawnego mnicha tego klasztoru. „Papam oportet... Papież powinien być świętym; powinien rozważać wszystko co jest ponad nim, przed nim, obok niego... quae supra te sunt, quae infra te sunt, quae circa te sunt".

Tak, — „nad nim" — dla Piusa X był zawsze Bóg, a przy Bogu Najświętsza Panna. „Pod nim" — świat cały który wzorem św. Pawła, uważał za „plugastwo"; naokoło niego — ludzie krwią Chrystusową odkupieni, brnący w grzechach, nastający dziś zbrojnie jedni na drugich. Pius ofiaruje za nich swe życie, za pokój świata. „Da pacem, Domine, in diebus nostris".



Pius X po śmierci

Odzyskuje mowę i nawiązuje się następująca rozmowa między nim a doktorem Marchiafava, profesorem uniwersytetu rzymskiego, który stoi u wezgłowia chorego:

„Niech Wasza Świętobliwość będzie dobrej myśli... zdrowie Jego jest przecenne dla Kościoła, dla świata, a przede wszystkim dla nas Włochów...“

—„Miliony ludzi — odpowiada Papież — walczy dziś na wszystkich frontach i umiera... Chciałem tę burzę zażegnać, i nie zdołałem... Nic mi nie pozostaje, jak boleść... Tyle młodego życia ginie marnie... A ja miałem przecie najwyższy urząd pokoju...“

Dr Marchiafava, opowiadając potem tę ostatnią rozmowę, dodał: „Był w takim nastroju ducha, że choroba musiała go porwać i to piorunująco!“

Wybitny ten lekarz tak opisuje ostatnie chwile świętego Papieża:

„Przyjął ostatnie Sakramenty z radością i spokojem, umysł miał do końca tak jasny, że podpowiadał wzruszonemu do głębi kapłanowi słowa absolucji. W pewnej chwili ujął w obie dłonie ręce kardynała Merry del Val, najwierniejszego przyjaciela i współpracownika jedenastoletniego pontyfikatu. Ścisnął je jak mógł najmocniej patrząc na niego z wielką miłością, lecz już bez słów. To nieme pożegnanie trwało około pół godziny. Potem znużoną ręką zrobił na sobie wielki, uroczysty znak Krzyża św. Czcigodna, siwa jak gołąb głowa, spoczywała nieruchomo na poduszce. Oczy otwarte miały wyraz promienny — co było ich stałą cechą przez całe życie.... Uprzedziłem obecnych, że katastrofa się zbliża. Włożono mu krucyfiks do ręki. — Wyszeptał jeszcze kilka niezrozumiałych słów, pocałował kilkakrotnie, powoli i żarliwie, wizerunek Chrystusa z kości słoniowej. Podniósł oczy do nieba, westchnął... i zgasł jak zdmuchnięta świeca. Nigdy nie widziałem tak pogodnej i cichej śmierci“.

Było to o pół do 2-giej w nocy w czwartek 20 sierpnia 1914 r., w szósty dzień oktawy Wniebowzięcia.

Zwłoki świętego Papieża, stosownie do jego życzenia, nie zostały zabalsamowane. Wystawiono je wedle zwyczaju w bazylice św. Piotra, gdzie przez kilka dni nieprzeliczone tłumy defilowały przed nimi ze łzami, bo Pius X był powszechnie kochany i jeszcze za życia uważany za Świętego. Grób jego zasłynął niebawem licznymi cudami.

Pius XI nakazał w lutym 1923 roku — czyli niespełna w 10 lat po zgonie swego poprzednika, rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego, który — jak wiadomo — doprowadził do beatyfikacji 3 czerwca bieżącego roku.

Cuda wciąż tak się mnożą, że dziś w 4 miesiącu potem, już jest mowa o kanonizacji.

S. M. Renata Niepokalanka

MATKA CHRYSTUSA MISTYCZNEGO

Z chwilą kiedy w Nazarecie Maryja wyrzekła słowo tak obfite w błogosławione skutki „fiat“ — niech się stanie, poczęła z Ducha św. Chrystusa fizycznie, a zarazem jako Oblubienica własnego swego Boskiego Syna, który w chwili wcielenia swego był już obdarowany godnością Głowy Kościoła, Mistyczne Ciało Chrystusa. Ale kiedy Chrystusa fizycznego zrodziła bez boleści w Betlejem, to Kościół Święty wespół ze Synem Swoim zrodziła w boleściach na Kalwarii.

Na krzyżu dokonał Chrystus dzieła pojednania dzieci Ewy z Bogiem Ojcem, zrodził swe mistyczne Ciało. Przez swą boleść Maryja uczestniczyła w tym dziele stając się macierzystym pierwiastkiem Kościoła. Albowiem Chrystus na Krzyżu zrodził nas do życia łaski jako Ojciec, a Maryja pod

Krzyżem jako Matka przyczyniła się do uzyskania życia duchownego odkupionych [1]).

Przez słowo wyrzeczone do św. Jana, który przedstawiał ród ludzki. „Oto Matka twoja", Chrystus chciał wyraźnie ukazać Maryję jako rzeczywistą Matkę Kościoła świętego.

„Oto Syn twój". Mistyczne Ciało Chrystusa zrodzone z przebitego Serca naszego Zbawcy, objęła Maryja tą samą matczyną troską i ofiarną miłością z jaką Dzieciątko Jezus w żłóbku tuliła i karmiła [2]).

Budowę Kościoła św. dokonaną na Kalwarii chciał uroczyście obwieścić Chrystus całemu światu w dzień Pięćdziesiątnicy. Oto na Maryję i na Apostołów zstąpił Duch Święty w ognistych językach. Odtąd mistyczne ciało Chrystusa rozciąga nię na wszystkie ludy i narody i rozrastała się w miarę powiększenia się liczby członków tegoż Ciała. Maryja bierze dalej udział w rozwoju Kościoła. Ona nadal rodzi i pielęgnuje Chrystusa w Członkach Jego Mistycznego Ciała. I dopóty będzie spełniała tę uszczęśliwiającą czynność, dopóki mistyczne Ciało Chrystusa nie osiągnie dojrzałości.

Znając te prawdy, może dziwną nam się już nie wyda obecna troska Maryi o Kościół święty. Cudowne objawienia, choćby przytoczyć Lourdes i Fatimę, oraz potężna fala odrodzenia duchowego po nich się zaznaczająca, są dowodami ciągle aktualnego macierzyństwa Maryi.

Przechodząc z prawd teoretycznych w dziedzinę uwag praktycznych, musimy sobie uświadomić, że Maryja jest nazwaną Matką naszą nie tylko dlatego, że zrodziła fizycznie Chrystusa, ale dlatego, że jest Matką prawdziwie, realnie, choć mistycznie i w porządku duchownym mistycznego Ciała Chrystusa, którego my jesteśmy członkami. Z jakąż wiarą i miłością powinniśmy się oddać Maryi Matce naszej. Z jaką słodyczą duchową, a zarazem głębokim zrozumieniem powinniśmy wymawiać wezwanie: Maryjo Matko nasza, módl się za nami. Nie bójmy się, że przez nabożeństwo do Maryi, oddalimy się od Chrystusa. Przeciwnie. Dobrze zrozumiane nabożeństwo do Matki Bożej naszej pośredniczki zbliży nas do Pana Jezusa Niektórzy święci nazywali Maryję „Szyją" mistycznego Ciała Chrystusa Albowiem jak szyja w organiźmie ludzkim łączy głowę z członkami i jest pośredniczką wzajemną, tak Maryja jest pośredniczką łask, które otrzymujemy od Głowy — Chrystusa i Pośredniczką naszych próśb.

Wielką wagę ma też nabożeństwo do Matki Mistycznego Chrystusa w ascetyce chrześcijańskiej. Bo o ile asceza jest wszczepianiem się w Chrystusa i upodobnianiem się do Niego, to musimy upodabniać się również do Maryi, która swe duchowe oblicze uformowała na kształt swego Syna, tak jak na Jej podobieństwo uformowaną została postać fizyczna Chrystusa.

O. Władysław k. b.

---

[1]) Patrz: Dr F. Jürgensmeier „Mistyczne Ciało Chrystusowe": Lublin — Uniwersytet 1949, str. 463.

[2]) Encyklika Piusa XII „Mystici Corporis Christi".

SPRAWA OJCA

„A gdy Jezus był już we dwunastu leciech, gdy oni wstąpili do Jeruzalem wedle zwyczaju dnia świętego. A skończywszy dni, gdy się wracali, zostało Dziecię Jezus w Jeruzalem, a nie obaczyli rodzice Jego. A mniemając, że jest w towarzystwie, uszli dzień drogi, szukali Go między krewnymi i znajomymi. A nie znalazłszy, wrócili do Jeruzalem, szukając Go. I stało się po trzech dniach znaleźli Go w kościele siedzącego w pośrodku doktorów, a On słuchał i pytał ich. A zdumiewali się wszyscy, którzy Go słuchali rozumowi i odpowiedziom Jego. A ujrzawszy, zdziwili się i rzekła do Niego matka Jego: Synu! Cóżeś nam tak uczynił? Oto ojciec Twój i ja żałośnie szukaliśmy Cię. I rzekł do nich: Cóż jest, żeście mnie szukali, nie wiedzieliście, że w tych rzeczach, które są Ojca mego, potrzeba, żebym był? A oni nie zrozumieli słowa, które im mówił. I zstąpił z nimi i przyszedł do Nazaret, a był im poddany". (Łuk. II, 42).

Całe życie duchowe Izraelitów koncentrowało się w świątyni Jerozolimskiej. Każdy obywatel tęsknił do niej, szukał w niej oparcia, światła, prawdy. Tam było miejsce Święte, tam składano rano i wieczór ofiary Bogu, a wierni wtedy padali na twarz. Dym kadzideł i trąby unaocznić im miały Majestat Jehowy. Świątynię zbudował Salomon, w czasie wojen uległa zniszczeniu, za czasów Chrystusa Pana była to świątynia odbudowana przez Heroda. Piękna i majestatyczna ściągała liczne rzesze pielgrzymów.

Była to ogromna budowla, dokoła głównego namiotu, dostępnego tylko kapłanom, były liczne przybudówki, dziedzińce Żydów, mężczyzn, kobiet. Osobno był dziedziniec pogan, na filarach widniały napisy, ostrzegające pogan przed przekroczeniem granicy i grożące karą śmierci za to przestępstwo. Dokoła dziedzińców było pełno portyków, hal, zabudowań. W jednej takiej sali zbierali się uczeni, a młodzież przychodziła do nich z licznymi pytaniami i wątpliwościami. I Jezus również podszedł do uczonych w Piśmie i pytał o sprawy, dotyczące Jego Ojca. „A zdumiewali się wszyscy, którzy Go słuchali..."

Jezus miał wtedy lat dwanaście. Wedle ustaw stawał się synem prawa, miał już obowiązek wypełniać zakon. Do najważniejszych zaś przepisów zakonu należało odwiedzenie świątyni Jerozolimskiej w okresie Paschy. Wybrał się tedy tam po raz pierwszy. Droga z Nazaretu do Jeruzalem wynosiła 140 km. i trzeba było poświęcić na nią 3 do 4 dni. Niewiasty szły osobno, a mężczyźni osobno, pacholęta zaś szły dowolnie albo z matką, albo z ojcem. Tym się tłumaczy, dlaczego

Najśw. Panna nie zauważyła rychło obecności syna w drodze powrotnej.

Wzruszenie ogarnęło Jezusa w chwili wejścia w progi świątyni, w dom Ojca Umiłowanego. Uświadomił sobie ogrom ofiary Swojej, ogarnęła Go żarliwość o chwałę Ojca tak wielka, że dla niej poświęcił pokój ukochanej Matki. Uczestniczył w uroczystościach zabijania baranka przy odgłosie trąb, a po tradycyjnej uczcie i licznych modłach został w świątyni wiedziony tą wielką miłością Ojca. Po raz pierwszy akcentuje swoje synostwo i obowiązek uczenia o Bogu. Dlatego tak spokojnie i z taką powagą odpowiada zbolałej Matce: „Cóż jest, żeście mnie szukali, nie wiedzieliście, że w tych rzeczach, które są Ojca mego potrzeba, żebym był?“ Maryja nie zrozumiała całej głębi tych słów, ale zrozumiała, że to już nie dziecię, że już ma swe sprawy, że mimo miłości i posłuszeństwa, któremu zaraz dał wyraz zstąpiwszy do Nazaretu, odchodzi od niej. Taki ból przeżywa każda matka i musi wtedy wznieść się do odwiecznych zamiarów Bożych, wiedząc, że dla Boga wychowuje dzieci.

Ustęp ten z Ewangelii św. Łukasza czyta Kościół w uroczystość Macierzyństwa N. Maryi Panny 11. X. i w uroczystość Najśw. Rodziny w pierwszą niedzielę po Epifanii. Ewangelia ta nasuwa wiele zagadnień, my się zatrzymamy na jednym. I nam potrzeba być tam, gdzie jest sprawa Ojca naszego.

Pan Jezus, spieszący na święto Paschy uczy nas wierności I i II przykazaniu kościelnemu o sposobie święcenia dni świętych, uczy wierności w służbie Bożej. Każdy katolik od chwili rozeznania obowiązany jest do wysłuchania Mszy świętej w niedziele i święta i nie możemy tego obowiązku zmieniać na inne ofiary. Ciężka choroba lub pielęgnowanie chorych i dzieci usprawiedliwia opuszczenie Mszy świętej, ale żyjąc w społeczeństwie katolickim można tak zorganizować pomoc sąsiedzką, że obu obowiązkom uczynimy zadość.

Nie chodzi jednak o samą fizyczną obecność w kościele na nieszporach, czy adoracji, ale o udział czynny i świadomy we Mszy świętej. Jest to Ofiara Nowego Zakonu, modlitwa całego Kościoła, ofiara, którą Chrystus przez ręce kapłana zanosi Ojcu Niebieskiemu, całej Trójcy Świętej, a my musimy w niej uczestniczyć i obok Chrystusowej swoją ofiarę składać, ofiarę swych trudów, swej pracy, swych cierpień i radości. Niedzielna Msza święta jednoczy parafię, pogłębia miłość, czego wyrazem jest wspólna Komunia święta. Msza święta dostarcza wielu szlachetnych przeżyć, jest źródłem nowych łask na tydzień nowych trudów i walk. Wielką siłę czuje katolik, łączący się przez Mszę św. z całym Kościołem.

Rodzice sami winni w niej czerpać siłę i jedność i uczyć tego dzieci wdrażając je do umiejętnego słuchania Mszy świętej. Najmłodsze interesują ruchy kapłana, wychowawca wyjaśnia ich symbolikę. Potem

zwraca się uwagę na istotne części Mszy św., zatrzymując dłużej na konsekracji i Komunii świętej. Kolejno przyjdzie czas na wyjaśnianie części najistotniejszych, najlepiej to czynić łącznie ze śpiewem gregoriańskim, który wcześnie urzeka swą plastyką i pięknością. Równocześnie zaznajamiamy się z rokiem kościelnym, przeżywając każde święto w duchu liturgii. W rodzinie św. Teresy od Dziec. Jezus każdej soboty ojciec tłumaczył tekst Mszy niedzielnej, to samo czynił w wigilię większych świąt. Jest to praktyka godna naśladowania. Nawet wtedy, gdy damy do rąk dzieci mszaliki, wyjaśnienia są niezbędne.

Strzec się trzeba ciasnego formalizmu z tej dziedziny, który cały wysiłek kładzie na recytację głośną tekstów mszalnych. W każdej Mszy świętej najważniejszą rzeczą jest współofiara nasza. Kapłan składa ofiarę w imieniu nas wszystkich, my łącząc się w ofierze i ofiarnictwie z Chrystusem Panem wypełniamy w sobie to, czego nie dostawa cierpieniom Chrystusa Pana" (Gal. II, 20). My przemieniamy się w Chrystusa. Św. Augustyn mówi: „Wasza to tajemnica na ołtarzu jest". Mamy siebie przynieść w ofierze, by żyć myślami i życiem Zbawiciela, wedle Jego upodobania i Woli. I dlatego nieodłączną jest Komunia święta i ubolewać trzeba, że tak opornie postępuje nawrót do praktyki pierwszych chrześcijan, którzy najlepiej realizowali testament Chrystusa Pana. Przez cały dzień ma trwać nastrój ofiarny, bo życie rodzinne, to pasmo ofiar, jak trudne będą bez pomocy Mszy świętej!

Katolikowi ustawicznie w uszach i sercu brzmią słowa Chrystusa Pana: W rzeczach, które są Ojca mego potrzeba, żebym był. Zawsze musimy tam być, gdzie chodzi o chwałę Bożą i dobro dusz. Troska o rzeczy Ojca da nam polot i rozszerzy egoistyczne serce. Nam trzeba dziś ludzi wielkodusznych, pragnących rzeczy wielkich. Służba Boża potęguje i uszlachetnia te pragnienia.

Dusze nasze są skłonne do zacierania głównych ścieżek pobożności, lubimy tworzyć własne teoryjki, budować boczne kapliczki obok wspaniałego tumu, w którym przy głównym ołtarzu rozbrzmiewa nieustannie chwała Boża. I tego samego często uczymy dzieci, wdrażamy je do nabożeństw drugorzędnych, a nie zbliżamy do liturgii.

Nie żałujmy dla niej trudów, jak nie żałował ich 12-letni Jezus.

Duch liturgii wymaga, by przeżywać z Kościołem te uczucia, jakie niesie tajemnica święcona. Radujmy się w okresie Bożego Narodzenia, pokutujmy w Wielkim Poście, opłakujmy Mękę Pańską w ostatnich tygodniach przed Wielkanocą, by triumfować z Chrystusem triumfującym. Z Maryją przeżywajmy Jej tajemnice od Narodzenia do ukoronowania w niebie, od Świętych uczmy się miłości i prośmy ich o pomoc. Ten świat liturgii, te sprawy Ojca są tak wspaniałe, tak niezgłębione, że życia nam nie starczy na wielbienie ich z całym Kościołem. A ile to da szczęścia!

„W rzeczach, które są Ojca mego, potrzeba, abym był".

S. Barbara Żulińska.

POTWÓR I KOKIETKA

— Steniu, czy ty poważnie myślisz wyjść za mąż?

— Czemu się tak dziwisz, Zosiu?

— Śmieszna jesteś, naiwna. Przecież małżeństwo to mężczyzna, dzieci, pielęgnacja, czuwanie, pieluszki, to ciągła ofiara.

— Mnie się jednak wydaje, że ofiarę tę można uczynić słodką.

— Bardzo ciekawam, jak to uczynisz? — niedbałym ruchem założyła nogę na nogę, lewą ręką poprawiła opadające loki znad czoła, prawą podniosła papierosa do ust. — Zacznijmy od mężczyzny.

— A cóż to, mężczyzna jest potworem, czy co?

— Dziwię się, że urzędniczka tak jak ty, żyjesz jeszcze iluzjami w stosunku do tego rodzaju ludzkości. Ja przebywając z nimi w biurze, wyzbyłam się wszelkich złudzeń co do nich.

— Złudzeń?

— A żebyś wiedziała. Jako gimnazjalistki nie daleko odbiegłyśmy od naszych sióstr sprzed wieku w zapatrywaniu się na mężczyznę. W każdym młodziku widzieliśmy księcia, z bajki, albo bohatera. Wierzyliśmy każdemu ich słowu, każdemu wyznaniu, roniliśmy łzy nad jego wiernością i miłością do nas objawianą przez naiwne wierszyki sentymentalne, których rzekomo byli autorami. Ale dziś? Dziś mogę powiedzieć, że to był jeden wielki fałsz. Mężczyzna to przede wszystkim wielki samolub, wyznania w jego ustach to tylko broń w jego ręku, aby zbałamucić kobietę, odebrać jej co ma najlepszego, posłużyć się kobietą jako zabawką, narzędziem w dogadzaniu swoim namiętnościom, a później... Jako przykład weź takiego Kwietka. — Żonaty gość, dzieciaty, a zaczął zawracać głowę Heli. Biedne dziewczątko, inteligentna, ale naiwna. Płakał przed nią, twierdził, że jak go odrzuci to sobie życie odbierze, że będzie go miała na sumieniu, że ją i tylko ją prawdziwie pokochał, że małżeństwo jego to wielka pomyłka... i Hela naiwna Hela uwierzyła. No i co? Kwietek dalej sobie żyje, wygodnie żyje, mieszka z żoną swoją i jakby nigdy nic. A Hela....

— Co się z nią stało? Taka sympatyczna panienka.

— Tak panienka, tylko z przeszłością i z dziedzictwem. Cóż z tego, że pan Kwietek wspaniałomyślnie płaci jej alimenta, ale życie kobiety, złamane raz na zawsze.

— Ale nie wszyscy mężczyźni są tacy!

— Nie wszyscy? Moja droga. „Miej serce i patrz w serce". Ja inaczej bym to powiedziała: „Miej oko i patrz w oko". Mężczyzna wyższy od kobiety? bohater? Przeciwnie! Tchórz, egoista, pełen śmiesznostek i dziwactw, duże dziecko i nic więcej.

— Ja inaczej bym powiedziała, Zosiu. „Mężczyzna to przede wszystkim człowiek.

— Cóż z tego wynika?

— To, że na podłożu człowieczeństwa spotyka się z kobietą na jednej płaszczyźnie. Czyli innymi słowami, tak kobieta, jak i mężczyzna to przede wszystkim człowiek. A jako ludzie są oboje pełni przymiotów i wad. Każdy człowiek ma skłonności psychiczne to w tym, lub innym kierunku, ale każdy może pracować nad wyrobieniem w sobie i ugruntowaniem przymiotów, a nad wytępieniem wad.

— Mówisz jak ksiądz na kazaniu. Ale mniejsza z tym. Chcesz przez to powiedzieć, że mężczyzna i kobieta są tyle samo warci?

— Tak jest. Prawda, że mężczyzna ma przewagę w dziedzinie intelektualnej, za to kobieta ma przewagę w dziedzinie serca, ale jest jedną pewną rzeczą, że muszą oboje dużo pracować nad sobą, aby być „człowiekiem z charakterem". Nie bądźmy jednostronne, ale przynajmniej z ciekawości zaglądnijmy na drugą stronę medalu, to jest zainteresujmy się, co mężczyzna o nas myśli. Nie ma co się łudzić. Dzisiejszy mężczyzna w kobiecie nie widzi

również samego nieskalanego ideału. Trzeba mieć nie tylko oko, jak powiedziałaś, ale również trzeba mieć i uszy, aby słyszeć, co o nas mówią mężczyźni.

— Kobieta — oto co mówią — to przede wszystkim kokietka. Oto najczęstsze określenie jakie padają z ich ust. Jedyne pragnienie kobiety, to chęć przypodobania się płci przeciwnej. — Każdy ruch, spojrzenie, półsłówka, sposób ubierania, buciki, pończoszki, wdzianka, loczki — wszystko ma na celu podobać się, wabić, drażnić mężczyznę, zdobywać. O ile przedtem mężczyzna zdobywał serce kobiety, to dziś kobieta sama narzuca się jemu. Celem dzisiejszej kobiety, to nie cichy dom rodzinny, ale wyżycie się.

— Czy to nie jest zbyt ostry sąd o nas?

— Taki sam, jaki ty wydałaś o mężczyznach.

— Wobec tego?

— Wobec tego, myślę, że prawda leży pośrodku. To znaczy, że tak twój sąd o mężczyznach, jak i ich o nas, jest przejaskrawiony, zbyt jednostronny, krzywdzący jeśli chodzi o całość, a tylko w części prawdziwy, jeśli chodzi o typy skrajne. Trudno z wyjątków robić ogólne prawo, czy tworzyć sądy. Żyjemy w epoce realizmu, tzn. bierzemy rzeczy tak, jakie są one w sobie. I jako realistka przystępuję do małżeństwa. Zdaję sobie sprawę, że mój narzeczony Mietek, nie jest bohaterem, ideałem — jest człowiekiem i to mi wystarczy. I on sobie zdaje sprawę z mojego usposobienia i z moich wad, których nie ukrywałam przed nim, co więcej, sama mu wskazywałam na nie, aby nie doznał później rozczarowania. Ale postanowiliśmy szukać jakiegoś lekarstwa na nasze błędy i słabości.

— Ciekawam, czy je znajdziecie.

— Mam wrażenie, że już znaleźliśmy. Tym lekarstwem to współpraca w dążeniu do doskonałości, czyli do świętości. Małżeństwo moja droga — jak to powiedziała Plater-Zyberkówna to urodzajna gleba, którą trzeba jednak ustawicznie uprawiać, bo inaczej wyrosną na niej zamiast plonów chwasty i ciernie. Trzeba pracować, uprawiać, plewić. Osobiście tak postąpiłam ze swoim Mieciem. Powiedziałam mu: mam swoje przymioty, ale i mam swoje wady. Otóż Miecio! Jeżeli zauważysz u mnie coś nieodpowiedniego, coś, co nie będzie ci się podobało, to zwróć mi uwagę, a ja postaram się z tego wytłumaczyć, albo po prostu poprawić się... I odwrotnie. Jeżeli ja zauważę ze swej strony, co się nie będzie mi podobało u ciebie, to pozwól, że i ja ci zwrócę uwagę. I uwierzysz Zosiu, podczas czasu narzeczeńskiego nie traciliśmy czasu na beznadziejne słodkawe wyznania w koło Macieju swoich uwielbień, ale wzięliśmy ostry start w kształceniu swoich charakterów. I o ile z ufnością powierzę się swojemu Mieciowi, to dlatego, że go dokładnie znam i... siebie znam. Ale to kosztuje. Ofiara musi być.

— A ja się boję właśnie tej ofiary.

— I ja także się boję, ale i na ten lęk jest sposób.

— Jaki?

— Nie liczyć na własne siły, ale na... Chrystusa. Małżeństwa udzielają sobie w kościele katolickim małżonkowie przed ołtarzem. A ołtarz to miejsce ofiary Chrystusa. Z tego to właśnie ołtarza spływa łaska Chrystusowa na małżonków na całe życie, nie tylko na miodowe miesiące, ale i na upalenie letnie i na słotę jesienną i na starość, kiedy siwizna pobieli głowy, jak śnieg pola. Ta łaska Boża daje sił do podjęcia się ofiary małżonce i matce. Dlatego nie boję się małżeństwa, i wiem, że bez ofiary nic nie może być wielkiego na świecie. Tak samo sprawa się ma i w porządku nadprzyrodzonym. A Bóg sam będzie zapłatą i to zbyt obfitą za ofiarę. Ale nawet i tutaj na ziemi człowiek za ofiarę zostaje nagrodzony. Świadomość, że zostawiło się jakieś dziedzictwo, żywe dziedzictwo, pożyteczne dla społeczeństwa. A kobieta... samotna kobieta — jakiż jej wieczór życia! Zdziwaczała stara panna, słyszy płacz nienarodzonych dzieci, zazdrość budzi się w jej sercu na widok szczęśliwej matki oto-

czonej liczną gromadką dzieci, a lęk przed pustymi ścianami swojego mieszkania spędza z jej twarzy wszelką radość. Obawiała się taka kobieta ofiary, a na starość otrzyma za to nagrodę — samotną rozpacz...

— Dziękuję ci Steniu za szczerość. Byłam zdecydowana nie wychodzić za mąż, urządzić wygodnie swe życie. — Ale teraz zastanowię się...

— Tak zastanów się, a dojdziesz do wniosków, że mężczyzna to jednak nie potwór.

— ...a przynajmniej nie każdy.

Bożena Mirska

RZEŹ NIEWINIĄTEK

(Listy do Krystyny o możliwościach osiągnięcia świętości w małżeństwie)

XIX

Krysiu kochana!

Zamierzałem w niniejszym liście omówić z Tobą sprawę „bogów cudzych", różnych zgubnych złudzeń, które przysłaniając nam rzeczywiste Oblicze Boga, fałszują Jego obraz. Ale chyba odłożę tę sprawę do następnego listu. Bo niedawne święto Młodzianków przypomniało mi, że istnieją nie tylko „bogi cudze", podszywające się pod prawdziwego i jedynego Boga. — Istnieją też „rówieśnicy Chrystusowi" — rzeczy piękne, obiecujące, szlachetne pragnienia, które rodzą się w naszych sercach jednocześnie z miłością Chrystusową, a które jednak nieraz muszą dać życie, ażeby Chrystus mógł w nas wzrastać i trwać.

Już w którymś z moich listów wspominałem Ci chyba o tym, iż wydaje mi się, że największą bodaj próbą na jaką wystawiona została wielka wiara Matki Bożej i św. Józefa, musiała być rzeź niewiniątek. Doprawdy, nie lada wiary potrzeba było, ażeby pochwycić logikę tej straszliwej alternatywy: albo zostanie ujawniony i uśmiercony Bóg-niemowlę, albo muszą zginąć setki obiecujących istnień. Czyżby Pan Zastępów nie rozporządzał już innymi sposobami ratowania swego doczesnego Wcielenia? Jakże żałośnie drgać musiały najtkliwsze struny tych dwojga współczujących serc, gdy na szlaku pospiesznej ucieczki ścigało ich echo zawodzenia Racheli! Ale Maryja i Józef, dlatego właśnie, że byli Maryją i Józefem umieli zgłębić sens tego, na pozór równie okrutnego, jak zbędnego okupu.

W naszych listach była już mowa o różnych formach wyrzeczenia się i ofiary, stanowiących główne paragrafy reguły małżeńskiego zakonu. — Ale te formy cierpienia należały raczej do kategorii konieczności oczywistych. Jasne jest i bezsporne, że na to, aby Chrystus mógł w nas żyć i wzrastać, trzeba uśmiercić w sobie egoizm, wygodnictwo, połowiczność. Ale to nie jest rzeź młodzianków. To jest ucieczka przed łapami Herodów, różnych groźnych i zgubnych sił. Natomiast niemowlęta, które dostąpiły tytułu pierwszych męczenników Chrystusowych, nie były ani groźne, ani zgubne. Były niewinne, były obiecujące, były rówieśnikami Dzieciątka Jezus. Wielu z nich urodziło się być może, w samą noc Bożego Narodzenia. Wszystko na pozór przeznaczało ich do tego, by stać się drużyną, orszakiem Chrystusowym, by należeć kiedyś do zastępu apostołów i uczniów. A jednak musiały one dać życie, ażeby Bóg Wcielony, uniesiony do obcego kraju mógł tam znaleźć schronienie i tam — w nierodzinnej ziemi — okrzepnąć i róść. Dopiero po latach, gdy w rodzinnej ziemi, umarły i Herody „co czyhały na życie Dziecięcia" — mógł do niej powrócić

bezpiecznie. I zazwyczaj nadal powraca.

W naszych sercach Krysiu, w tej samej chwili, gdy narodzi się w nich miłość Chrystusowa, gdy narodzi się Chrystus, rodzi się równocześnie mnóstwo Bożych pragnień, obiecujących marzeń. Być może, iż tym „rówieśnikom Chrystusowym przeznaczono z Woli Bożej doczekać, wespół ze wzrastającym w nas Chrystusem, „pełni wieku Chrystusowego". Ale być może również, iż z Woli Bożej przeznaczono im dać życie wzamian za wzrost samego Chrystusa.

Nie łatwo jest człowiekowi żyjącemu w małżeństwie rozpoznać, co jest takim „niewiniątkiem", które musi zostać uśmiercone w rodzinnej ziemi własnej duszy, by Chrystus mógł wzrastać w egipskiej obczyźnie takich zrządzeń Woli Bożej, które nie są mu bliskie i swojskie — a co należy bezspornie do orszaku, który pospołu z Jezusem wzrastać może i musi. Wymaga to bardzo wielkiej czujności hartu, a zwłaszcza ustawicznego kontaktu z natchnieniami Ducha św.

Ale dość już teoretycznych rozważań. Przejdźmy do konkretu, Krysiu. Wprawdzie, w ostatecznej instancji, będziesz zawsze musiała sama pod okiem Bożym i w świetle Łaski rozstrzygnąć swoje wątpliwości w tym względzie. Niemniej pozwolę sobie zwrócić Ci uwagę na niektóre aspekty tego zagadnienia.

Weźmy kilka przykładów. Oto najpierw — Ty sama. Masz z natury usposobienie raczej poważne, skupione „wewnętrzne". Wyobrażam sobie, że gdy będziesz mężatką i matką zechcesz stworzyć sobie dom, pogodny i wesoły wprawdzie, ale jak gdyby trochę „klauzurowy", odcięty od obcych, czerpiący całą swą radość i wszystkie rozrywki z kręgu rodzinnego współżycia. Wszystko to jest bardzo piękne i należy bez wątpienia do orszaku „rówieśników" Chrystusowych, którzy pospołu z Nim mogliby wzrastać i trwać. Ale tylko pod tym warunkiem, że taka będzie Wola Boża. Że mąż Twój i dzieci będą miały usposobienie podobne do Twego. Wtedy, oczywiście, dom Wasz stanie się prawdziwym Nazaretem, czymś w rodzaju nieba na ziemi. Ale Pan Bóg swoim wybranym przeważnie nie daje nieba na ziemi. A nuż mąż Twój będzie człowiekiem czynu, działaczem, społecznikiem? — A nuż będzie lubił i musiał otaczać się ludźmi? A Twoje dzieci będą towarzyskie, będą wiecznie ciągnęły za sobą zastępy kolegów, napełniających dom wrzawą i ruchem?

Jasne jest, że w takich warunkach, ratowanie za wszelką cenę Twoich niewinnych i pięknych marzeń o cichym, wewnętrznym, nazaretańskim kręgu rodzinnym, byłoby jednoznaczne z narażaniem na szwank życia i wzrastania Chrystusa zarówno w Tobie samej, jak i w Twych najbliższych. Odsunięcie się od zainteresowań Twego męża, wskazanie drzwi koleżeńskiej drużynie Twoich brzdąców, doprowadziłoby tylko do tego, że mąż odsunąłby się od Ciebie, dzieci poczęłyby uciekać z domu pod byle pozorem, aż do kłamstwa włącznie. Wiesz dobrze, Krysieńko, iż bynajmniej nie zamierzam Cię namawiać abyś miała swój dom i rodzinę rzucić na pastwę chaosu, pozwolić by stały się terenem inwazji różnych, niepożądanych wpływów. Chodzi mi o to, byś zrozumiała, że wzrastanie Chrystusa odbywa się nieraz na odcinkach nam duchowo obcych, podobnie jak wzrastanie Dzieciątka Jezus uniesionego do Egiptu. — A tymczasem w nas samych jak w rodzinnej ziemi, musi wzamian za ten wzrost, dać życie coś niewinnego i cennego.

Gdyby to, co w powyższej hipotezie przewiduję, miało istotnie stać się rzeczywistością Twego przyszłego życia, to — uśmierciwszy w sobie swoje „niewinne" marzenia o zamkniętym kręgu rodzinnym — możesz wspaniale przyczynić się do wzrastania Chrystusa.

Promieniowanie Twojej wewnętrznej treści, promieniowanie Boga przemieszkującego w Twym sercu może mieć wielki wpływ na ludzi z jakimi będziesz musiała się wbrew woli stykać. Obcym dzieciom garnącym się do

Twoich, będziesz z pewnością mogła dać wiele, czego nie znalazłyby może we własnej rodzinie. A to, że sama będziesz ustawicznie tęskniła, by tych swoich najbliższych mieć trochę bardziej dla siebie, by móc prowadzić ich do Boga tą drogą jaką sama pragnęłabyś móc kroczyć?... No, trudno! To jest właśnie lament Racheli.

A popatrz teraz znów na naszą Zosię. Jej sytuacja będzie się przedstawiała całkiem odwrotnie. Wiemy dobrze co to za Szarytka w studenckiej czapce. Każda wolna chwila poza domem, ustawiczna gonitwa w służbie tysiąca cudzych spraw, cudzych kłopotów. I wiemy również dobrze jaki jest Staszek. Młody naukowiec, domator, miłośnik ciszy i skupienia. Jeśli — gdy się już pobiorą — Zosia nie zdobędzie się na odwagę uśmiercenia tej swojej, nie tylko że niewinnej, ale jak najszlachetniejszej tendencji do miłosierdzia „na zewnątrz", to mocno się obawiam, że z dalszym wzrastaniem Dzieciątka Jezus, zarówno w jej sercu, jak w sercu jej męża może być bardzo źle. Jakto, nawet miłosierdzie? zapytasz może. Nie, nie samo miłosierdzie, oczywiście, ale tą — w sobie bardzo wartościową i natchnioną miłością Bożą — lecz w danym wypadku, dla wzrastania Chrystusa groźną, formą, jaką jest potrzeba wynoszenia tego miłosierdzia poza dom. Jeżeli Zosia to podejmie, niezawodnie znajdzie dla pożerającej ją potrzeby służenia bliźnim, inne formy, które by nie kolidowały ze wzrastaniem życia Bożego w sercu jej męża.

Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Młodzianków też było wielu. — Chciałbym Ci tylko jeszcze zwrócić uwagę na jedno — najszlachetniejsze może i najbardziej obiecujące istnienie, które może niekiedy przedstawiać dla wzrastania Chrystusowego wielką groźbę.

Omawialiśmy już kilkakrotnie tę tragiczną pomyłkę (żeby nie powiedzieć: nieprzebaczalny grzech) wielu rodziców, którzy pod wpływem samolubnych czy ziemskich motywów, odwracają od ich powołania dzieci, które Bóg wzywa do poświęcenia Mu się całkowicie. Tym razem zaś, pragnąłbym Cię przestrzec przed pomyłką wielu rodziców, zwłaszcza matek, które w swym — nie tylko że niewinnym, ale jak najszlachetniejszym — pragnieniu oddania Bogu chociaż jednego ze swych dzieci — w syna lub córkę „wmawiają" powołanie kapłańskie czy zakonne. Ileż to pokory, ile uległości wobec Woli Bożej i natchnień Ducha Św. potrzeba, ażeby umieć „uśmiercić" obiecujące życie takiego pragnienia! Bo cóż może być bardziej zrozumiałe i piękniejsze! Oto matka, której całe życie było jednym pasmem heroicznej miłości Bożej poprzez poświęcenie się dla dzieci, pragnie kapłaństwem czy dziewictwem swego dziecka ukoronować niejako dzieło swego życia. — A jednak... Czy to, że chłopak jest poważny i głęboko religijny, że dziewczynka zupełnie przypomina Tereskę Martin z lat dziecięcych, już świadczy o tym, że powołani są do kapłaństwa czy zakonu? Mówiłem Ci już, iż spośród wszystkich ludzi, jakich w życiu znałem nikt mi tak żywo nie przywodził na myśl psychicznego oblicza, mentalności i stosunku do Boga św. Tereski, jak właśnie Elżunia, ten — chyba śmiało rzec można — ideał świętości w małżeństwie i macierzyństwie. Musimy raz wreszcie skończyć z tym, przez nas, świeckich, zbyt długo przestrzeganym podziałem: wszystko co ładne, wesołe, zdolne, żywe — dla świata, wszystko, co pobożne, wartościowe, poważne — do zakonu. Jeśli z tym nie skończymy, nigdy nie wybrniemy z nieporozumień na temat świętości. Tajemnica powołania — jak już to sama zauważyłaś, wymyka się wszelkim szablonom. Duch kędy chce tchnie. Nie znamy ani Jego kryteriów, ani Jego dróg. I nie naszą rzeczą jest uprzedzać jego decyzje. Pamiętasz Maćka, naszego wodzireja?... Z jaką to swadą prowadził mazura na trzy dni przed wstąpieniem do nowicjatu! A takim jest dziś wspaniałym zakonnikiem! Choć przyznasz, że nie wiele się zmienił. Jest nadal „wodzirejem", ale wodzirejem w radosnym miłowaniu Boga. A co to się ludziska nawydzi-

wiali! „Maciek, taki trzpiot, taki wesołek! Co to za pomysł z tym klasztorem? Kto go do tego zmusił?" Nie może się ludziom w głowie pomieścić, że to co żywe, wesołe, pełne rozmachu też może usłyszeć przemożny zew „Zostaw wszystko i pójdź za mną!"

A z drugiej strony znów Ty, moja Panno! Iluż to już ludzi wysyłało Cię za kratę! Ileż to razy słyszałem: „Krysia, taka poważna, taka głęboko religijna, przecież jasne, że ona ma powołanie!" Wcale nie jasne! Dobrze o tym wiemy. Wprawdzie bez wątpienia masz powołanie do świętości, które jest udziałem wszystkich miłośników Chrystusowych, ale sama stwierdzasz (a i ja Twoje zdanie podzielam), że czujesz się stworzona do małżeństwa.

Nie wiadomo nigdy z góry kogo Pan Bóg powoła na tę, kogo na tamtą drogę. Cechy charakteru danej jednostki o niczym nie świadczą. Toteż rodzice, którzy na podstawie tych cech wnioskują o powołaniu swych dzieci, wychodzą z błędnego założenia. Jeśli śliczna i wesoła panna, w której kochali się na zabój wszyscy koledzy, jednego pięknego dnia oświadcza, że wstępuje do Karmelu, nie znaczy to wcale, że trzeba załamać ręce twierdząc, że to jakaś straszliwa pomyłka, doszukując się istotnej przyczyny takiej decyzji w jakichś zawodach miłosnych, czy innych powodach dysgustu do świeckiego życia. Rzetelność takich powołań zazwyczaj nie ulega żadnej wątpliwości. Natomiast to, że poważny młodzieniec czy panna codziennie uczęszczają do Komunii św. i prowadzą intensywne życie wewnętrzne, nie jest jeszcze bynajmniej dowodem, że są powołani do kapłaństwa, czy zakonu.

Niejedni gorliwi, zacni rodzice marzący o poświęceniu swych dzieci Bogu, bazując na takich właśnie fałszywych przesłankach, często zbyt pochopnie, jak się rzekło „wmawiają" w te dzieci nieistniejące powołanie. Za iluż to kapłanów niedorastających do swego zadania, za ile zakonnic, które musiały po latach wystąpić, lub do śmierci zatruwały życie zgromadzenia — odpowiadać kiedyś będzie przed Bogiem takie właśnie rodzicielskie „wmawianie". Niewinne, piękne, obiecujące pragnienie. Ale ponieważ nie zostało w porę uśmiercone w miłosnej pokorze wobec Woli Bożej, — zagrożone zostało życie Chrystusa, wzrastanie Chrystusa w tych duszach, które powoływał On na inny szlak.

Krysiu najmilsza, znamy się od dawna. Nie tajne mi są Twe najgorętsze pragnienia. Wiem dobrze, iż — podobnie jak matka św. Tereski — marzysz o tym by mieć wiele dzieci i móc je wszystkie Panu Bogu poświęcić. Nikt nie rozumie Cię w tym wypadku lepiej niż ja. Ale błagam Cię, pamiętaj o tym, żeśmy wprawdzie winni trwać w gotowości do poświęcenia, lecz że to nie my oddajemy Bogu dzieci, a Bóg Sam je powołuje. „Nie wyście mnie wybrali, alem ja was wybrał, abyście wydali owoc na żywot wieczny". — Dopiero gdy Jego głos się odezwie przychodzi kolej i na naszą zgodę, nasze „Fiat", naszą wdzięczność. Ale doprawdy, nie można „forsować" zamiarów, o których nie wiemy jeszcze, czy są zamiarami Bożymi. Takie forsowanie, choćby podyktowane najszczytniejszymi motywami, jest jednak przejawem pychy.

Nie potrafiłbym wyrazić, Krysiu, jak gorąco pragnę, aby Pan Bóg przyjął Twoje marzenia. — Ażebyś, kiedyś w przyszłości dostąpić mogła tego najwyższego ziemskiego zaszczytu i szczęścia matki, by całować wyświęcone dłonie syna... może nawet synów, by śpiewać „Magnificat" na Obłóczynach córki... może nawet wielu córek. Pragnę tego zresztą nie tylko dla Ciebie. Bo Kościół Chrystusowy nigdy chyba jeszcze nie potrzebował tylu co dziś wielkich, świętych kapłanów i anielskich dziewic. Ale również chyba nigdy jeszcze nie potrzebował świeckich świętych zakrojonych na tak nieprzeciętną miarę!

Toteż proponuję byśmy od dziś począwszy, z myślą o Twej macierzyńskiej przyszłości, codziennie do wieczornego pacierza dodawali modlitwę o świętość dla Twych przyszłych dzieci. Ale o świętość w jak najszerszym, jak najbardziej Bożym znaczeniu. Natomiast wszelkie marzenia o takich,

O. RAFAŁ CHYLIŃSKI

„A nade wszystko miejcie miłość"!

Obejmuje go łaska. Zwolna, lecz z wzrastającą mocą Bóg zabiera go sobie na własność. Mały Melchior Chyliński tego jeszcze sobie nie uświadamia. Z coraz tylko większą wyrazistością dostrzega w różnorodnych przejawach życia dobroć i czujną Opatrzność Bożą. Toteż wszelkie swe chłopięce troski i kłopoty szkolne powierza Mu z ufnym oddaniem.

Nad rozwojem życia religijnego chłopca czuwa troskliwa matka, umiejętnie rozbudzając te dziecięce uczucia w zarzewie miłości. Znajduje ona dalszy rozwój w duszy Melchiora w kolegium OO. Jezuitów w Poznaniu, w którym też dobiega on końca swych studiów.

W r. 1712 zaciąga się Melchior pod jedną z chorągwi pancernych króla Stanisława Leszczyńskiego, gdzie dosługuje się niebawem stopnia porucznika. Żołnierskie życie nie odpowiada mu jednak bynajmniej. Nie pociąga go również swobodne, nieraz hulaszcze życie młodych oficerów. Ucieka chętnie do samotności. Wypełniona bogactwem własnych myśli, daje mu ona zgoła odmienne, szerokie horyzonty. Cechująca go niezwykła wrażliwość na ludzkie cierpienia i nędzę, wyzwala z duszy jego najszlachetniejsze pierwiastki współczucia, które poparte czynnym miłosierdziem staje się z biegiem czasu znamienną cechą jego charakteru, by w latach późniejszych stać się podwaliną cnót heroicznych.

Wczesna dojrzałość umysłu i serca, będąca niewątpliwym wykwitem łaski, budzi w nim głębokie zastanowienie i refleksje, coraz to wnikliwsze i częstsze nad znikomością spraw tego świata. Melchior szuka swej drogi.

I oto w trzy lata później w r. 1715 za 21-letnim młodzieńcem zamyka się furta klasztoru OO. Franciszkanów w Krakowie. Pod zakonnym imieniem Rafała, rozpoczyna teraz Melchior start ku świętości.

Droga na szczyty znaczona jest cierpieniem. Gołębie swe serce i ofiarne dłonie oddaje w służbę najnieszczęśliwszych. Spieszy ku nim z pomocą duchową i materialną. Opornych i lękliwych, słodyczą swego braterskiego obejścia pociąga do Sakramentu pokuty, rzucając ich niejako w ramiona Boże. Niestrudzony w szerzeniu Jego chwały, zyskuje Mu mnóstwo dusz, zdobywając równocześnie w bardzo krótkim przeciągu czasu opinię wytrawnego spowiednika i kaznodziei. — Nie zapomina zapalony duszpasterz i o nędzy doczesnej powierzonej sobie owczarni. W pełni świadomy jej znaczenia w zaniku wartości moralnych, drogą zapobiegania jej w miarę wytężonych po temu do ostatecznych granic możliwości sił, pragnie i tym środkiem leczyć powstałe rany duchowe.

Dziwią mu się ludzie, posądzają o fanatyzm, a nawet dziwactwo. Nie brak głosów takich i wśród murów klasztornych, albowiem zachowanie O. Rafała przekracza zwykłe normy postępowania ludzkiego. Chronić go wprost należy przed oddawaniem najkonieczniejszej osobistej odzieży napotkanemu nędzarzowi. Widok takiego, stale rani boleśnie serce zakonnika. Impulsywnym odruchem miłości pragnie wówczas zrzec się wszystkiego... Zdarza się to wielokrotnie i dopiero niezadowolenie i wymówki przełożonych przywołują zgnębionego O. Rafała do refleksji i pokornego uznania rzekomej swej winy. Zaraz potem jednakże, przy najbliższej podobnej oko-

---

Dokończenie ze str. 26

czy innych formach świętości, o takich, czy innych drogach powołania umiejmy odsunąć od siebie... uśmiercić... Pamiętajmy, iż na to, ażeby mógł ocaleć i żyć Chrystus, ażeby nic nie stanęło w poprzek Jego Woli, muszą niekiedy oddać życie „rówieśnicy" Chrystusowi.

Jan Rybałt

liczności zapomina o skrusze i powtarza się znów to samo zdarzenie.

Miłość promieniuje z niego. „Wszystko zrozumieć to jest wszystko przebaczyć“ zdaje się być drogowskazem jego życia. Kocha nie tylko nieszczęśliwych, lecz złych i występnych. Pełen jest dla nich litości.

I ku nim wszystkich, tym wydziedziczonym, którzy stają mu się najbliżsi, wyciąga ręce błogosławiące, spragnione niesienia dobra i ulgi...

W szpitalach, na barłogach nędznych chat, witają go radośnie chorzy, kaleki. Jest przy tych, którzy z powodu odrażających swych chorób bywają opuszczeni, zapomniani przez wszystkich i daremnie oczekują od nich miłosierdzia. Dla nich chowa O. Rafał najtkliwsze słowa pociechy, poucza o miłości i krzyżu Zbawiciela.

Podczas zarazy w Krakowie, pierwszy staje na posterunku, pełniąc przy dotkniętych nią, najróżnorodniejsze posługi, od duchowych począwszy, aż do najbardziej upakarzających. Spełnia je z uśmiechem aż do ostatecznego wyczerpania sił.

Wszystko to zresztą w jego oczach niemal nie posiada wartości. Pełen głębokiej pokory i skromności, usuwa się stale od wszelkich zaszczytów i godności, pragnąc przesuwać się przez życie cicho, niemal niepostrzeżenie. Kryje swe narzędzia pokutne przed oczyma współzakonników — odkrywa je tylko przypadek. Żądny jedynie miłości Boga i bliźniego wypełnia te dwa przykazania ponad ludzką miarę. Jakże by więc za tak ujęte życie nie miał otrzymać nagrody?

I oto po 27 latach tak wiernej służby, ona nadchodzi. O. Rafał nie może już, schorowany, podnosić się jak dawniej wczas rano do codziennych heroicznych swych zmagań. Choroba płuc, bezwład poranionych nóg, zagrożenie ślepotą... już tylko to jedno, wraz z cichą rezygnacją można złożyć Bogu w ofierze. I O. Rafał czyni to chętnie. Wie, że już bardzo niedługo przyjdzie zdać Wszechmocnemu z żywota rachunek. Dziwna słodycz i szczęście obejmują chorego. Ogromny przypływ łaski nie dozwala już lękać się niczego...

Przepowiada dzień swego odejścia. Jest gotów i zupełnie spokojny, promienny wewnętrznym weselem. A gdy przychodzi ostatnia chwila, obejmuje go światłość...

Najlepszy Bóg — szepcze, przymykając powieki.

*

Ostatnie lata działalności O. Rafała przypadają na Łagiewniki pod Łodzią i tam też w kościele św. Antoniego zostaje on pochowany. Grób jego otoczony jest kultem wiernych, ich modłami i ozdabiany kwieciem. Wobec mającego się niebawem rozpocząć procesu beatyfikacyjnego wskazaną może rzeczą będzie z czcigodną postacią O. Rafała zapoznać czytelników. Kto wie czy wśród nich nie znajdzie się czasem ktoś, kto westchnie do Boga, by w łaskawości swej zezwolił na jak najrychlejsze wyniesienie skromnego zakonnika na ołtarze.

Maria Jelińska



Życie katolickie

* W niedzielę, dnia 21 października b. roku zostali wyniesieni na ołtarze trzej święci, mianowicie biskup z Bobbio, Antoni Maria Gianelli, następnie uczony barnabita, Franciszek Ksawery Maria Bianchi oraz brat laik kapucyn Ignacy da Laconi, wszyscy trzej Włosi. Św. Antoni Gianelli zasłynął jako gorliwy duszpasterz i biskup. Założył Instytut Oblatów św. Alfonsa Liguori dla reformy kleru i kierowania Seminariami, a także Instytut Córek Maryi Panny z Orto. Żył w latach od 1789 do 1846. — Święty Fr. Ksaw. M. Bianchi żył w latach od 1743 do 1815. Urodził się w ojczyźnie Cycerona w Arpino. Zasłynął jako umysł o wielkiej kulturze, stąd też został członkiem wielu akademii. Z czasem jednak oddał się całkowicie pracy duszpasterskiej i kierowaniu duszami w konfesjonale. Z jego szkoły świętości wyszło wielu świątobliwych kapłanów i osób świeckich. Dlatego nazywany jest apostołem Neapolu, w którym to mieście najwięcej pracował. Jego wstawiennictwu przypisują neapolitańczycy zatrzymanie lawy przy gwałtownym wybuchu Wezuwiusza w r. 1804. Trzecim świętym to pokorny braciszek kapucyn, który całe życie strawił na kwestarstwie. — Było mu ono okazją do praktykowania pokory, umartwienia i miłości bliźniego. Żył w Sardynii w latach 1701—1781.

* W uroczystość Wszystkich Świętych tj. 1 listop. br Ojciec święty odprawił w bazylice św. Piotra uroczystą Mszę pontyfikalną, na zamknięcie uroczystości związanych z obchodem 1700-letniej rocznicy Soboru Chalcedońskiego, na którym określono dogmatycznie jedność boskiej Osoby Jezusa Chrystusa, Boga-Człowieka. Uroczystość związana była nadto z pierwszą rocznicą ogłoszenia dogmatu Wniebowzięcia N. M. Panny. Po Mszy Ojciec św. udał się w orszaku ku głównemu wejściu do bazyliki, gdzie poświęcił pamiątkowe tablice wmurowane w boczne ściany. Tablice te wykonane z białego marmuru kararyjskiego zajmują 73 m kwadratowe powierzchni. Na nich wykuto 601 imion kardynałów, arcybiskupów i biskupów, którzy byli obecni na uroczystościach dogmatyzacji Wniebowzięcia.

* Z okazji uroczystości 700-lecia Szkaplerza Matki B. z Góry Karmelu, odbytych na Malcie, ukazała się tamże seria znaczków pocztowych, przedstawiających Matkę Boską podającą Szkaplerz św. Szymonowi Stock.

SPIS RZECZY

„Pod Opieką Św. Józefa“ — r. 1951, rocznik VI

ŚW. JÓZEF

MARYJNE

ŻYCIE WEWNĘTRZNE

Cykl: Życie nadprzyrodzone:

ROZWAŻANIA

Cykl: Z Ewangelią w ręku:

TREŚĆ NUMERU

„POD OPIEKĄ Św. JÓZEFA"

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej i Zakonnej. 9834/51

Redaguje Kolegium

Adres Redakcji:
Redakcja „Pod Opieką św. Józefa"
Kraków
ul. Rakowicka 18

Konto:
Wydawnictwo Karmelitów Bosych
Kraków
PKO. Kraków Nr IV—842/113

Adres dla spraw prenumeraty:
Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu
„Ruch" Oddział w Krakowie
ul. Pawia 6
Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo
Kolportażu „Ruch" Kraków
Dział Prenumeraty Pocztowej

Wydawnictwa Religijne i Naukowe
„Pod Opieką św. Józefa"
PKO. Kraków Nr IV — 1639.

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł.

KRAKOWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE ZAKŁAD 7 — KRAKÓW

M-2-25146 Druk ukończono w styczniu 1952. Nakład: 8.000. Zam. 593